

“Bodajes cudze dzieci uczył!”

List do Władka, prezesa Klubu Pesymistów na temat: Blaski i nędze życia instruktora pilotażu



... Powiadasz z właściwym sobie cynizmem: “I tak ich niczego nie nauczysz!” i doradzasz metodę tego instruktora, który, biorąc ucznia do maszyny na pierwszy lot, leciał nad miejscowy cementarz i grobowym basem huczał: — “Tu leżą moi uczniowie.”

Dobrze Ci z lekkim sercem drwić z przyjaciela, bo sam “na trawkę” poszedłeś do *operations room* i jako “kontroler” wodzisz zbłąkanych kolegów po niebie, podając szczególnie fałszywe kursy przeciwnikom z obozu optymistów. I z okrutnym uśmiechem zapytujesz, jak ja się czuję “na odpoczynku” w roli instruktora pilotażu.

Mój drogi, wiesz, że nie lękałem się pracy, idąc “na odpoczynek,” bo nie czułem się zmęczony. A dziś nie dlatego tęsknię do Dywizjonu, że tam jest mniej pracy; nie dlatego, że mają lepszą kuchnię, więcej urlopów, benzynę do samochodów; nie dlatego, boi Boże, że są odwiedzani przez dostojników, wzmiankowani w rozkazach, opisywani w prasie. Tęsknię do Dywizjonu po prostu dlatego, bo to NIE byli ludzie obcy; każdy z nich był mi bliski i drogi. Tęsknię do kolegów, do młodych, pogodnych, życzliwych twarzy; do mechaników, którzy serce wkładali w swoją robotę, żeby mi zapewnić bezpieczeństwo i wygodę, i z radością witali mnie po locie. Tęsknię do dowódcy, który był moim opiekunem i przyjacielem, a nie administratorem i dozorcą.

Pamiętam, jak pierwszy raz zameldowałem mu się po przybyciu do Dywizjonu. “Hrabia Oleś” wziął mnie do swego pokoju, gdzie z groźną miną ostrzegał mnie, jak bardzo jest wymagający i surowy wobec podwładnych. Nagle do pokoju wpadli dwaj “podwładni”, rzucili się na “Hrabiego Olesia” i zaczęli się razem tarzać po podłodze z nieopisanym hałasem. Początkowo próbował im wytłumaczyć, że ma “poważną” rozmowę, ale w końcu zrezygnował i śmialiśmy się wszyscy.

Jakże cudownym darem jest dyscyplina, ukryta w charakterze, a nie manifestowana w mięśniach, sprężonych na baczność; nie było wypadku, żeby ktoś o minutę spóźnił się do *readiness*, żeby zawiódł w locie, lub nie wykonał zadania. I skąd się to brało, jeśli nie było śladu napomnień, “podkreślenia”, ostrzeżeń? Gdyby dowódca powiedział: — “A nie spóźnić się jutro do *readiness*!” — brzmiało by to tak dziwnie. Jak: — “A nie zapomnieć wylądować po locie!” Dyscyplina naszej służby była czymś tak oczywistym, a nie zwracającym uwagi, jak oddychanie.

there?” Ale zamiast tego usłyszałem: — “Oh, good evening, sir, are you back with us?”

Nie, nie byłem z powrotem z nimi — nie można powracać, jeśli się nie odeszło, a ja ani na cal nie odszedłem od Zdzicha, Leszka, Antka, Boba, Staszka, Mariana... Wszystko, co dla nich bliskie, ważne, drogie, pozostało i mnie bliskie, ważne, drogie. Bolało mnie serce nad sercowymi bólami Leszka i swędził mnie świerz, na który cierpiał Zdzich. Nie trzeba dodawać, że w aucie Zdzicha czułem się jak we własnym. Właśnie tym autem odwożony na stację, gdy po urlopie przyszedło wracać z Drinkholt do Torturton, myślałem nad tym, że ja właściwie nie wracam nigdzie, tylko znowu od nich odjeżdżam, znowu z nimi się rozstaję aż do następnego urlopu.

Pewnie myślisz, Władeczku, że te lzy, które przed Tobą tu wylewam, — to wstęp do zapisania się na członka Klubu Pesymistów. Otóż, mój drogi, pamiętaj, że urodzony i niepoprawny optymista, jakim jestem i pozostanę mimo całego uznania i zrozumienia postawy, reprezentowanej przez Twój Klub, optymista, powiadam, zawsze naprzód wylicza nędze, a blaski odkłada na deser. Nazywa się to: “psychologiczny ciąg rosnący.”

Nie uwierzysz, ile jasnych i ciepłych blasków może oprzeć pracę instruktorską; jak łatwo własne, wewnątrz rodzące się zadowolenie stępia tamte, w gruncie rzeczy mało ważne cienie wpinane z zewnątrz.

Bo praca instruktorska — to jest dzielenie się, obdarowywanie ludzi czymś, co jest naprawdę moje, wewnętrzne, własne. Widzisz, jeżeli ja głodnemu dam chleba lub szyling, to dałem mu coś, co miałem w kieszeni, lub w szpiżarni — nie coś, co miałem w duszy. A jeżeli tych chłopców nauczyłem latać, to przecież podzieliłem się z nimi moją najwłaśniejszą własnością, czymś, co mam w rękach, w nogach, a przede wszystkim — w głowie. No i w sercu.

A pomyśl tylko, jak bardzo tego potrzebują, jacy spragnieni tej wiedzy, czy umiejętności są tacy chłopcy, którym ja mam “skrzydła przypiąć u ramion” /jakże trafna przenośnia!/. Toż oni marzą o lataniu, i to o tym “myśliwskim” lataniu. Więc czy może być większa radość i chluba, niż dzielenie się tym, co moje własne,

z takim, który tego potrzebuje i pragnie?!

To jest tak, jak bym komuś cząstkę duszy mej oddawał, albo, jak bym cząstkę jego duszy urabiał na obraz i podobieństwo moje. To ludzi wiąże, silniej, niż okoliczności zewnętrzne — jądanie przy jednym stole, lub mieszkanie w jednym pokoju.

Więc nic dziwnego, że Genio, który był moim uczniem, jest mi dziś może bliższy, niż tacy, którzy byli moimi kolegami. I na pewno wcale nie dlatego, że Genio był as! A, że as był, to fakt. Każdy lot z nim to był prawdziwy *fun*. Prócz przyjemności samego latania miało się zawsze przyjemność pewności, że można mu ufać w powietrzu, że nie straci głowy i nie zawiedzie w nieoczekiwanej sytuacji. A kiedy pokazać mu było nowe ćwiczenie, uczył się tak szybko, tak pojętnie, że czuło się nie tylko ogromną satysfakcję, ale — wdzięczność, tak, wdzięczność. Okazuje się, że wdzięczny może być i instruktor uczniowi.

Jeszcze zanim Genio stał się moją pociechą, miałem dwóch uczniów “Amerykańców” — z pochodzenia Polaków, ale trzeba było ich instruować po angielsku, bo ich polszczyzna była jeszcze w powijakach. /Pozdrowienia, przesłane na karcie, zakończyli kiedyś tajemniczym słowem “CHOŁE!” co “okazało się być” intencją napisania: Czołem!/. Ich imiona, lub raczej przewiska, w Stanach używa się zawsze przezwiska, — wytłumaczyli mi /byli: “B u z z” i “K u c h.”

Buzz był ode mnie wyższy o dwie głowy, a Kuch wyższy od Buzza o głowę. Pocucie niższości dokuczało mi szczególnie w tylnym siedzeniu instruktorskim, bo widoczność do przodu z takim uczniem była fatalna, — “*blind flying*,” można powiedzieć. Ale obaj byli uważni i tylko raz podczas niskiego lotu z Buzzem omal nie wpadliśmy na “Wellingtona,” który nam nagle wyszedł spod skrzydła. — “*Did you see him, Sir?*” — zapytał Buzz po zrobieniu szybkiego uniku. — “*No*, — powiedziałem szczerze — *did you?*” — “*I didn't*” — stwierdził pogodnie Buzz — *but perhaps he did see us.*”

Kiedy po ukończeniu kursu obaj przyszli złożyć mi pożegnalną wizytę, Buzz ofiarował mi piękne pudełko amerykańskiego tytoniu, a Kuch — olbrzymie cygaro. Bardzo mnie wzruszyli. Oczywiście

wzruszony byłbym jeszcze bardziej, gdybym palił.

Teraz obaj są w Stanach i pisują długie, mile listy. Łatwiej mi nawet czytać ich, niż słuchać, bo wymowę mieli rasowo amerykańską, — “*From Oxford*” brzmiało: “*Fram Azford*,” a “*twenty*” w polskiej pisowni było by: “*fony*.” Mimo to rozumielśmy się i już zawsze będziemy rozumieć się doskonale.

A czy nie było radością patrzeć na Daniela, jak porastał w pierze i z trwożliwego pisklęcia przeobrażał się w silnego, samodzielnego i — sprytnego ptaszka? Daniel, kiedy pierwszy raz dosiadł tych ośmiuset koni, poczuł w sercu trwogę i zwątpienie. Ale nie dał za wygraną. Tylko, kiedy mu na początku coś nie wychodziło — kręcił głową. To był znak, że już nie trzeba mu było zwracać uwagi na błąd. Kiedy nabrał za dużo wysokości lub zeszedł z kierunku, albo z szybkościami miał kłopoty, a ja otwierałem właśnie mikrofon, żeby mu nauragać, Daniel kręcił głową, wobec czego mikrofon można było wyłączyć. Czasem nie spostrzegłem, że coś sknocił, dopiero po tragicznym ruchu głowy orientowałem się, że coś musi być nie w porządku. /Wniosek dla uczniów: nie kręć głową, póki nie jesteś pewien, że instruktor już wie./

Ale Daniel uczył się szybko i nie powtarzał błędów, jak inny uczeń, który w rundzie zawsze tracił trzysta stóp w skręcie, — “*Panie — tłumacz mi instruktor — ma pan mieć tysiąc stóp po skręcie, a nie siedemset?*” — “*A to, panie instruktorze — zaproponował tamten rezolutnie — to ja będę przed skrzem wchodził na tysiąc trzysta stóp?*”

To mi przypomina czasy, kiedy ja sam byłem uczniem i miałem starego, wytrawnego instruktora, który posiadał ogromnie bogaty słownik i lubił dłuższe przypomnienia w powietrzu. W tej sytuacji n.p. powiedziałby: — “*Gdybym moją babkę, co ma osiemdziesiąt cztery lata, wziął na dziesięć dubli, to by lepiej ten skręt zrobiła, niż ty, stara... fujało za piecem.*”

Obecnie klimat angielski złagodził dawne, ostre formy instruowania. I uczniowie są dziś wrażliwi. Antek, mój kolega po fachu, miał tak lekkiego ucznia, że kiedy w czasie przelotu krzyknął mu: — “*Trzymaj kurs!*” — tamten natychmiast zrobił pół bezki. Potem Antek takie polecenia wydawał mu w sposób następujący: najpierw kilkakrotnie chrząkał tonem możliwie łagodnym, potem pojedynkowo odzywał się: — “*Hallo, czy pan mnie słyszy?*” — to dobrze, to bardzo dobrze, to może pan zechce łaskawie powrócić na kurs, z którego pan zeszedł o czterdzieści stopni, bo cię wyrzucę won z maszyny, ty tumanie.” etc., etc.

Rozumiesz na pewno, mój drogi, dlaczego praca instruktorska kosztuje tyle nerwów: bo ja jestem odpowiedzialny nie tylko za siebie, ale przede wszystkim za niego — ucznia. Jestem odpowiedzialny za jego życie nie tylko, kiedy z nim lecę, ale i wtedy, kiedy on sam leci. Nie tylko teraz, podczas kursu, ale i później, kiedy będzie samodzielnym pilotem, i po wszystkie czasy jego latania, bo w każdym jego dobrym locie część będzie moja zasługą, a w każdym jego złym locie część będzie moim błędem.

Pamiętasz, jak jest “uczeń” po angielsku? — “*pupil*.” Ten wyraz znaczy też i: żrenica. Podobna mi się to *double meaning*. Czyż nie muszę dbać o ucznia, jak o żrenicę oka, osłaniać, póki nie-doświadczony, przed niespodziankami powietrza i maszyny, chronić poprzez naukę latania przed błędami, które mogłyby życiem przyplacić, uczyć go — patrzeć i widzieć?

Oh, oh, rozczulam się, a i tak Cię nie wzruszę, stary cyniku. Ale wcale nie chciałem Cię wzruszyć, tylko zrobić Ci na złość, upewniając, że jestem w dalszym ciągu niewzruszonym optymistą. *Keep smiling and — Cheerio!*

Twój

P.S. — I właśnie jako optymista nie tracę nadziei, że przecież, prędzej czy później, spotkamy się jeszcze w Dywizjonie.

GUSTAW NIERAD

Z podróży Naczelnego Wodza na Wschód

Generał Sosnkowski u najmłodszych Polaków w Nazarecie dnia 19. listopada ub. r.



